Coś większego — Urban

Od autora: Publikując ten tekst pierwszy raz i jako, że jest to także mój pierwszy tekst - proszę o wyrozumiałość. Zapraszam aczkolwiek do najbrutalniejszej krytyki.

Jest to mały fragment książki w charakterze kryminału/spisku, którą mam zamiar kontynuować.

Rozdział I

Nie wiadomo dokładnie kiedy, w całej historii szlachetnych trunków po raz pierwszy wyprodukowano piwo. Szacuje się jednak, że najstarsze dokumenty dotyczące jego produkcji datują wywodzące się z Mezopotamii manuskrypty na czwarte millenium przed narodzeniem Chrystusa. Leżąca w dwurzeczu Eufratu i Tygrysu starożytna cywilizacja Sumerów, której początki sięgają zarania dziejów, opisała nawet proces warzenia i spożywania napoju na glinianych tabliczkach, które dziś można na własne oczy zobaczyć w British Museum w Londynie.

Ted Geary nigdy nie był w Muzeum Brytyjskim, nie miał także okazji odwiedzić samego Londynu, ani górującego nad nim Big Bena. Wiedział natomiast, że tamtejsze piwo nie zachwycało zbytnio przyjezdnych i tyle mu wystarczyło.

Przyglądając się trzymanej w dłoni butelce, obserwował unoszące się w swoim ciągłym tańcu bąbelki. Wyobrażał sobie ludzi, którzy na przestrzeni dziejów musieli pijać ten złocisty chmielowy napój. Widział wielkich lordów panujących w kamiennych zamczyskach, z długimi wąsami, masujących się po wydatnych brzuchach, pijanych królów udających się ze swoją świtą na polowanie do pobliskiego lasu i rycerzy, którzy zmorzeni walką w turniejach, odpoczywali w cieniu drzewa sącząc powoli zimne piwo. Nawet na wojnach, gdzie bród, smród i ból, wszystkim towarzyszyło niczym wierny kompan. Było drugim najpopularniejszym napojem na świecie, zaraz po wodzie i herbacie. Wszystkie warstwy klas społecznych, włącznie z klasztornymi mnichami piły na umór.

Ted Geary posmakował importera oblizując wargi z piany. Nie musiał być wielkim znawcą, żeby stwierdzić, czy dany browar jest dobry, czy też nie. Mężczyzna takie rzeczy po prostu wie. Tak samo, jak każdy wie, kiedy przestać i gdzie leży granica rozsądku. Tego wieczoru, było jednak inaczej.

Otworzywszy trzy kolejne butelki Ted spojrzał w swoją talię. Cztery asy. Odłożył na stół czystą już popielniczkę i zapalił kolejnego papierosa. Kłąb dymu uleciał pod gołą żarówkę zwisającą z sufitu nad stołem.

Siedzący naprzeciwko telewizora Ryan Nillson rozdawał żetony do gry w pokera, śmiejąc się cicho pod nosem.

- Możesz mi powiedzieć, z czego tak rżysz? - spytał zgryźliwie Philip.

- Z tego, że przegrywasz.

Mężczyzna siedzący na fotelu podniósł się.

- Bo oszukujesz! - wykrzyknął oburzony.

- Ja oszukuję? - odparował niewinnie Ryan.

- Tak, zawsze jak tasujesz, jakimś cudem masz Full. Nie myśl sobie, że nie zauważyłem.

- Trzeba było nie pić tak szybko, to też byś miał pełen kufel - Ryan się uśmiechnął.

Ted Geary zerknął ukradkiem na Philipa podając obydwu po otwartym już piwie. Jego twarz przybrała właśnie barwę karmazynu i zlewała się z obrazem Monet'a wiszącego za nim.

- Nie chodzi mi o moje piwo, tylko o układ kart! - wydusił z siebie. - Nie rób ze mnie idioty.

- Nie wiem o co ci chodzi. Przecież jak ty tasowałeś, też miałem Full.

Philipa na chwilę zatkało.

- No tak, niefortunnie dla mnie - przyznał niechętnie Philip. Co nie zmienia faktu, że teraz jestem bankrutem - dodał po chwili.

- Dlatego gramy nowe rozdanie. Spokojnie, jeszcze masz szansę - uspokajał go Ryan. Poker to gra pozorów. Nim się obejrzysz możesz zgarnąć z powrotem swoją działkę, a może nawet całą pulę.

Ryan Nillson był według Teda inteligentnym, aczkolwiek wyrachowanym człowiekiem. Pracował razem z nim dla służb wojskowych w jednostce wywiadowczej. Ryan w terenie. On sam zaś, zasiadał na dość wysokim stanowisku w wydziale rozwoju technologicznego. Poznali się na imprezie absolwentów uniwersytetu w Maine i okazało się, że obojgu spodobała się służba dla kraju. Philip z kolei, był sąsiadem Teda mieszkającym po przeciwnej stronie ulicy wraz ze swoją żoną Nancy i dwu rocznym dzieckiem. Widać było po nim i po jego poszerzających się w szybkim tempie zakolach, że praca ojca na pół etatu przerasta jego możliwości.

Niektórym ojcostwo chyba nie służy, pomyślał Ted zawiesiwszy wzrok na cofającym się czole Philipa.

- Dalej Teddy, nie daj się prosić dwa razy - zaczął znów któryś z nich.

Obróciwszy głowę zorientował się, że odpłynął na chwilę. Jego koledzy czekali niecierpliwie, aż wzniesie z nimi toast. Powolnym już i niepewnym chwytem złapał swoje piwo.

- Dobrze, już dobrze ale to ostatnie - odrzekł nieco niewyraźnym tonem. Owszem, jutro poniedziałek, a on musi jak zwykle wstać o piątej, żeby zdążyć do pracy ale nie oznacza to, że od czasu do czasu nie mo-

że sobie na trochę pozwolić. Jedno piwo więcej, czy mniej nie ma na niego większego wpływu, dziś wypił tylko osiem, więc miał jeszcze miejsce na jedno lub trzy. Przecież nie miewał nigdy kaca, nie licząc pewnej balangi na studiach ale to było dawno, zresztą jest dorosły i to on podejmuje decyzje, nie jego ojciec.

Nagle wstrząsnął nim zimny dreszcz, gdy jakaś odległa część jego umysłu przypomniała mu o jego ojcu. Obraz starszego człowieka z głębokimi bruzdami zastygłymi na twarzy w grymasie niepohamowanego gniewu, z butelką brandy w jednej ręce i skórzanym pasem w drugiej przyprawił go o mdłości. Zawiesił na sekundę dłoń z Carlsbergiem w powietrzu, jednak widząc kątem oka zdziwione spojrzenia kolegów, odchylił głowę do tyłu i pociągnął zdrowo z gwinta poruszając przy tym swoją wydatną grdyką. Po kilku chwilach mężczyźni zawyli w aprobacie przybijając mu piątkę i tasując karty.

Następnego ranka Ted Geary otworzył powoli oczy i pozwolił by resztki snu ustąpiły miejsca denerwującej melodii którą wydawał jego budzik. Walnął na ślepo ręką gdzieś w okolice szafki nocnej uderzając o ramkę zdjęcia zamiast w zegarek i przeklinając siarczyście. Wymacawszy urządzenie ze szklaną szybką wyłączył wreszcie okropny dźwięk. Usiadł, odgarnął pościel i podniósł zaspany wzrok, który spoczął na czarnej skarpecie, a raczej na żyrandolu, na którym to wesoło kołysała się część jego ubioru. Powoli otarł oczy i ogarnął spojrzeniem cały pokój, dostrzegając wylewające się z szafy fałdy ciuchów, gdy szczątki wspomnień z wczorajszego wieczoru uderzyły go niczym woda tryskająca z zepsutego kranu. Chwycił się za głowę w nadziei uśnieżenia tępego bólu głowy. W ustach czuł nieprzyjemny, kwaśny smak chmielu. Starał się odnaleźć zaropiałymi wciąż oczami wodę, zawsze stawiał litrową przy łóżku, kiedy szedł spać, ale tym razem nigdzie jej nie dostrzegał. Szczęśliwym trafem obok małej lampki stała szklanka soku grejpfrutowego. Bogu dzięki, pomyślał zgarniając ją wciąż trzęsącą się w letargu ręką. Wziął porządnego łyka, ale kiedy miał już zamiar przełknąć, jego mózg wysłał sygnał do efektora. W następnej chwili łapczywy haust soku opuszczał już z rozbryzgiem usta Teda. Rozpylony w powietrzu sok wylądował na parkiecie. Okazało się, że w rzeczywistości był to drink. W dodatku wyjątkowo mocny. Po chwili wzdrygnął się czując wciąż na języku posmak wódki, a zaraz potem zrobiło mu się niedobrze.

Jego dom przypominał w tej chwili rynsztok nie wyłączając niestety zapachu niezidentyfikowanej substancji, który uderzał falami z okolic korytarza do jego małego nosa, co sprawiło, że poczuł podchodzącą mu pod gardło zawartość żołądka. Wstając, omal nie przewrócił się o gitarę, która leżała niewinnie tuż przy łóżku, jakby ktoś położył ją tutaj specjalnie w nadziei, że będzie to dobry dowcip. Miał tego dość. Założył różowe japonki i poczłapał do korytarza chcąc sprawdzić źródło odrażającego fetoru.

Wszędzie, gdzie spojrzał leżały puszki i butelki po piwie lub niedopałki papierosów. Z toalety w przedpokoju zalatywało gnojownią. Nie musiał tam wchodzić, żeby wiedzieć, że szambo znów wybiło. Cały dom był wywrócony do góry nogami. Na dywanie przy stoliku do kawy leżały też kawałki zaschniętego błota. Jego zdumienie osiągnęło apogeum, gdy wszedł do kuchni. Zlew był wypełniony różnymi talerzami i patelniami, które piętrzyły się ponad chromowany, zabrudzony sosem kran. Obok, na marmurowym blacie kuchennym spoczywały porozrywane gąbki do mycia rozrzucone w nieładzie i resztki wczorajszej kolacji. Brudny dywan, ślady bójki, pobrudzony ketchupem ekran telewizora, rozbita waza. Wszystko wskazywało na ostrą imprezę, która miała miejsce poprzedniego dnia i raczej nie prędko przyjdzie mu o tym zapomnieć, choć jak na ironię, pamiętał niewiele.

Ruszył w stronę rozbitej wazy, łudząc się, że może da się ją jeszcze skleić, jednak nadzieja minęła zarówno tak szybko jak się pojawiła. Podniósł część antyku i przyglądał mu się przez chwilę. Wiedział, że musi posprzątać ten bałagan jak najszybciej. W pracy czekały na niego projekty, a zostało mu tylko pół godziny, żeby zdążyć na pociąg. Jednym z nich był projekt mikrofonu montowanego w mikroskopijny laserowy sensor ruchu, który za pomocą przekaźnika wysyłać miał fale radiowe umożliwiające odbiór nagrywanego dźwięku na danej częstotliwości. Był do tyłu z pozostałymi pracami, o których nawet nie miał siły myśleć, chociażby ze względu na potwornego kaca, który zdawał się wisieć nad jego głową jak ciężka chmura deszczowa. Zapowiadał się długi dzień.

Ted odrzucił z rezygnacją fragment wazy, który upadł na posadzkę i rozbił się na mniejsze kawałki tworząc efekt kalejdoskopu. Odwrócił się na pięcie, i wyszedł z powrotem na korytarz krążąc w kółko i próbując pozbierać myśli, które były w tym samym stanie co jego mieszkanie.

-Myśl, myśl ! - poganiał się na głos, przygryzając wargę. - Muszę się zorganizować.

Nagle podniósł głowę i spojrzał na drzwi wejściowe.

Karcher. Ekipy sprzątające, sprzątaczki na jeden dzień. House cleanex Bros. instant i inne firmy, pomyślał logicznie, przecież było tego od groma.

Pogoda była wyjątkowo dokuczliwa i nie mniej przerażająca. Siekający zaciekle deszcz uderzał w twarz, a zasnute czarnymi chmurami niebo posępnie mruczało tak, jakby gdzieś strasznie wysoko rozgrywała się jakaś bitwa. Była jesień. Wysokie czarne drzewo bez liści odpowiedziało twierdząco wyginając się posępnie pod siłą wiatru. Ted spojrzał na rudego kota sąsiadki, który o dziwo pogody spokojnie załatwiał swoje sprawy na jego trawniku patrząc się na niego niewinnym wzrokiem.

- Spadaj stąd, no już! - krzyknął w stronę kota, podnosząc jednocześnie kasztan z trawnika i ciskając w jego stronę z całej siły. Odległość była niewielka - pięć, sześć metrów, mimo tego chybił. Kasztan odbił się od drzewa, zmieniając trajektorię lotu i uderzył prosto w karoserię czarnego Dodge'a Chargera stojącego na jego podjeździe.

-Cholera! Mój Max! - zawołał rozpaczliwie, gdy zobaczył odpryśnięty lakier i wgnieciony kawałek blachy. Bez wahania podbiegł do swojego samochodu by sprawdzić czy rzeczywiście wygląda tak źle. Wokół niewielkiego wgniecenia powstało cienkie pęknięcie w kształcie zniekształconego pierścienia, a w samym środku zdołał dostrzec ukrywające się resztki starego lakieru, na który nałożona była nowa warstwa.

- Max... - powtórzył ze smutkiem w głosie.

Właściwie dopiero teraz, gdy odsapnął od zatęchłego powietrza w domu przypomniał sobie, dlaczego nazywał swojego dodge'a po imieniu. Było to imię jego pierwszego psa, którego dostał kiedyś na gwiazdkę od matki. Czarny cocker spaniel. Pamiętał ten dzień dokładnie jako jeden z nielicznych i najszczęśliwszych w jego dzieciństwie. Wiele razem przeszli a właściwie za dużo jak na jednego psa, więc zawsze przypuszczał, że rodzice kupili mu nowego, chcąc zapobiec rozpaczy po stracie ukochanego pupila. Gdy

odległe wycie jakiegoś bezpańskiego kundla wytrąciło go z konsternacji, wstał powoli odrętwiały. Starając się nie zwracać uwagi na ciekawską sąsiadkę, wyglądającą zza okna, wyjął gazetę ze skrzynki na listy i poczłapał przemoczony do domu.

Zimny red bull. Tego mu było trzeba. Mimo, iż był zmarznięty wolał coś chłodnego niż ciepłą herbatę czy kawę. O wiele lepsze były dobre w smaku napoje energetyczne. Uwielbiał je.

Zgniótłszy pustą już puszkę, zgarnął telefon z zawalonej kartami do gry komody i zadzwonił z podanego w gazecie numeru po grupę Sherman's karcher co. Powinni dojechać w pół godziny, pomyślał, gdy jego żołądek dał o sobie znać nawołując niemiłosiernie. Przeszedł więc obok wiszącego w holu gobelinu i znalazł się w kuchni. Dziesięć minut później jajecznica z bekonem skwierczała wesoło na patelni, a Ted starał się sprzątnąć wszechogarniający bałagan, by czyściciele mogli zająć się dywanem, mocno już szarym od kurzu i resztek pizzy.

Pokój sprawiał wrażenie niesymetrycznego przez rozrzucone byle jak ubrania i rzeczy, które o dziwo musiały należeć do jakiejś kobiety. Różowa torebka i szminka także mówiły za siebie.

Z brązowej szafy pod schodami Ted dostrzegł wystający szalik.

Ted zatrzymał się przy schodach z brzegiem od pizzy w ręce i przekrzywił głowę. Miał dziwne przeczucie, że zaraz przypomni sobie co się wczoraj działo.

Bordowy szal wydawał się wilgotny w wątłym świetle dnia.

Zamrugał parę razy hacząc rzęsami o wciąż zaropiałe oczy. Coś było nie tak. Ciągnięty ciekawością, podszedł powoli bliżej i kucnął chwytając za bawełniany materiał.

Tak jak myślał, był cały mokry.

Ted Geary ostrożnie szarpnął za szalik.

To, co wydarzyło się w tym momencie, było gorsze, niż najbardziej przerażające koszmary Teda. Wszystko działo się w zwolnionym tempie. Właściwie, to czas zatrzymał się w miejscu lub przynajmniej zwolnił na tyle, aby w jednej chwili stały się dwie rzeczy. Do drzwi frontowych zadzwonił karcher. A jedna z powiek Teda drgnęła konwulsyjnie, jakby chciała się obronić go przed tym co za chwilę zobaczy.

Na początku ujrzał tylko ciemny kształt osuwający się łagodnie na podłogę, lecz po chwili wątłe promienie słoneczne, jakby na kilka sekund przebiły się przez grubą warstwę chmur i oświetliły ciało...

Krew była wszędzie. Wyciekała obficie z rany na szyi kobiety, pokrywając brązowe linoleum kafelkowe. W jednej chwili serce Teda Geary'ego zaczęło bić jak oszalałe. Zaniemówił.

Ciemna krew żylna płynęła spokojnie fugami tworząc czerwony labirynt. Kobieta była naga, a jej jasnoniebieskie oczy patrzyły przed siebie rozmarzonym, martwym wzrokiem.

Otępiałe spojrzenie Teda biegało w tę i z powrotem, a usta zastygły na wpół otwarte. Tylko jego brew podskakiwała nerwowo w górę, dzięki czemu wyglądał jak obłąkany. Był kompletnie zdrętwiały, temperatura w pomieszczeniu spadła o jakieś dziesięć stopni. Zaraz potem przeszedł go okropny, zimny dreszcz zaczynając się gdzieś w nogach, a kończąc w cebulkach włosów.

Po dłuższej chwili kołatania serca uspokoił się nieco, a jego umysł toczył już zaciętą walkę między dwiema myślami: „To nie może się dziać naprawdę" i „Co teraz zrobić?". Jeżeli zadzwoni na policję i powie że znalazł w swoim mieszkaniu martwą kobietę, pewnie aresztują go i stwierdzą że jest psychicznie chory. Przecież nikt zdrowy na umyśle nie zamordowałby niewinnej osoby i zadzwonił potem na policję, żeby się pochwalić.

Gdy zastanawiał się nad swoim losem, trzeźwość umysłu przywrócił mu kolejny dzwonek do drzwi. Odrzucił więc pierwszą myśl, stwierdzając że sytuacja jest bardziej realistyczna niż cały jego wczorajszy wieczór. Spojrzał na drzwi frontowe, potem na ciało. Musiał coś zrobić. Był kompletnie roztrzęsiony, ale odbył długą służbę w wojsku zanim został przeniesiony do działu technologicznego i wiedział, że musi działać szybko. Był przeszkolony i powinien poradzić sobie w takiej i każdej innej sytuacji. W teorii.

Ted Geary szybko wziął parę głębokich oddechów i zachował względny spokój.

Pobiegł do kuchni i zaczął przeszukiwać półki oraz szafki, strącając talerze, szklanki, rozsypując wokół jedzenie, niczym narkoman próbujący znaleźć swoje specyfiki. Gdy znalazł wreszcie to, czego szukał, pobiegł sprintem do salonu i z niezwykłą zręcznością zaczął ścierać ciemną posokę z podłogi, szybko wsiąkającą w gąbkę.

Dzwonek zadzwonił ponownie.

Obróciwszy się w stronę wejścia nacisnął za bardzo na rączkę, mocowanie ułamało się a mop spadł na podłogę rozbryzgując dookoła krew. Wściekły, kopnął z całych sił aluminiową rurkę, która odleciała na drugi koniec pokoju i zaczął wpychać ciało do czarnego worka. Kiedy już uniósł zwłoki na wysokość ramion, spojrzał przed siebie i ruszył do przodu uważając, by nie poślizgnąć się w rozmazanej kałuży krwi. Był już w połowie drogi do drzwi piwnicy lecz nagle do jego nozdrzy dotarł dziwny zapach. Z badań prowadzonych przez naukowców wynika, iż część mózgu odpowiedzialna za zmysł powonienia potrafi przechowywać informacje o danym zapachu przez prawie całe życie głęboko w podświadomości człowieka. Mózg Teda nie musiał się jednak za bardzo wysilać, gdyż po kilku chwilach wiedział już co się kroi. Był to swąd spalenizny. Przerażony tym odkryciem puścił worek a ciało uderzyło głucho o kuchenne kafelki. Odwróciwszy głowę dostrzegł kłęby dymu wydobywające się znad kuchenki i wielkie języki płomieni pod nimi, które sięgały już beżowych zasłon. Materiał nie wytrzymał nawet sekundy i od razu stanął w ogniu paląc się tak szybko jakby był ze słomy. W tym samym momencie włączył się alarm przeciwpożarowy a po chwili dało się słyszeć intensywne walenie do drzwi.

- Halo! Czy jest ktoś w domu? - zawołał ktoś zza drzwi.

Przypomniawszy sobie, że na ganku cały czas czeka na niego grupa sprzątająca, znów wpadł w panikę. Jeżeli nic nie powie i nabiorą podejrzeń, to zadzwonią na policję. Z drugiej jednak strony co miał powiedzieć? *"Tak, wszystko w porządku, muszę tylko ugasić pożar i ukryć zwłoki jakiejś kobiety".* Wiedział, że nie może dłużej zwlekać, nie może się teraz zawahać. Zebrał się w sobie, wziął głęboki oddech i ruszył do ciemnobrązowych drewnianych drzwi, które zdołał otworzyć jednym szybkim ruchem. Spojrzał na schody które niknęły gdzieś w ciemnościach zalegających w piwnicy a następnie na ciało, po czym wrzucił je bezceremonialnie do środka. Zanim zamknął za sobą drzwi usłyszał głośne tąpnięcie. Nie było mu łatwo ale musiał to zrobić. Przykro mi – rzucił w stronę mahoniowych drzwi. Nie zwlekając dłużej popędził szybko na korytarz, by chwycić w biegu gaśnicę podręczną i oderwać żółtą zawleczkę zębami, zupełnie jak żołnierz odbezpieczający granat na wojnie. Wróciwszy do kuchni nacisnął dźwignię na metalowej butli i odchylił wąż w stronę ognia. Co prawda, nigdy nie używał gaśnicy, ale musiał przy-

znać, że widok był znajomy. Może nie była to właściwa chwila żeby się odprężyć ani zrelaksować lecz właśnie teraz, kiedy chociaż przez kilka sekund nad czymś panował, czuł się bezpieczny i pewny siebie. Proszek wydobywający się z gaśnicy szybko pokrył osmolone i tlące się powierzchnie, sprawiając wrażenie pokrywy śnieżnej, która zalegała obwicie podczas zimy na tutejszych parkingach. Uporawszy się z pożarem wyłączył wciąż wyjący alarm i podbiegł do drzwi frontowych, aby podziękować pracownikom za ich poświęcony czas i z przykrością oznajmić, iż nie skorzysta z usługi. Oczywiście zapłaci ale na pewno nie tyle, ile kosztowałby pełny pakiet czyszczenia jego mieszkania. Jeżeli jednak będą mu grozić pozwem lub pokryciem kosztów to mogą od razu zadzwonić na policję. Ted był upartym człowiekiem, zwłaszcza w kwestiach finansowych, toteż zawsze podejmował decyzję, zanim nawet doszło do jakiejkolwiek rozmowy lecz w tym przypadku miało być zupełnie inaczej.

Ted przyłożył dłoń do czarnego pokrętła, przycisnął i przekręcił w lewo. Niestety nie szło mu zbyt dobrze. Jako jedyny w tej dzielnicy posiadał zamek, który otwierał się w drugą stronę. Kiedy w końcu udało mu się otworzyć drzwi, spojrzał przed siebie i otworzył usta tak szeroko, że zapiekły go kąciki ust. Nie miałby co się dziwić, gdyby nie fakt, iż na jego ganku stało dwoje barczystych, przyodzianych w czarno-niebieskie stroje mundurowych.

- Dobry - powiedział wesoło niższy funkcjonariusz, uśmiechając się życzliwie. - Jestem Charles Beadger z...

- Policja New Jersey - przerwał mu złośliwie ten drugi. - Dostaliśmy wezwanie od pańskiej sąsiadki - Pani... - w tym momencie zawiesił głos i wyjął z tylnej kieszeni mały notes z metalowym pozłacanym Q na środku. Mężczyzna przewertował parę kartek i zatrzymawszy się w końcu na właściwej stronie wybełkotał: - ...Pani O'...Doy...le.

- Zgłosiła wzmożony hałas dziś o godzinie drugiej czterdzieści nad ranem, drugi telefon dotyczył znęcania się nad zwierzętami. Powiedziała nam też, że wybił pan okno kuchenne, a odłamki które wpadły do pomieszczenia pokaleczyły... - policjant przerwał swój monolog dostrzegłszy w głębi domu proszek gaśniczy i zaniemówił.

-Czy wszystko w porządku? - odezwał się po dłuższej chwili zerkając na bałagan panujący w mieszkaniu.

Wredny konstabl wyciągnął parasol by uchronić się przed wszechobecnym deszczem.

Ted zauważył, że nastawienie drugiego oficera diametralnie się zmieniło, więc wykorzystał ten moment.

- Tak. E… wszystko jest w jak najlepszym porządku - wyrzucił z siebie, zmuszając się jednocześnie do sztucznego uśmiechu. Nie mógł zbywać ich dłużej - wiedział, że prędzej czy później zechcą przeszukać dom, dlatego przyrzekł sobie w duchu, że kiedy tylko nadarzy się jakaś okazja, ucieknie. Nie da się złapać. Nie może iść siedzieć. Był przed trzydziestką, jego najpiękniejsze lata były jeszcze przed nim i nie zamierzał spędzać ich w zapchlonej, wilgotnej celi. Wiedział, że z tego by się już nie wykaraskał.

Nagle sytuacja się zmieniła.

Spojrzawszy ponownie na twarz mężczyzny stojącego przed nim, wiedział już co się wydarzy – widział to w jego oczach. Dojrzał też kątem oka jak drugi oficer sięga powoli ręką do kabury i odpina pasek z cichym kliknięciem. W następnej chwili miało być po wszystkim.

To był koniec. Ted już wiedział, co się zaraz stanie. Już miał się przyznać, wyciągnąć ręce przed siebie, paść na kolana i poddać się. Teraz został mu już tylko papieros dziennie i godzina na spacerniaku. To będzie jego nowa rutyna.

Po chwili, Ted Geary już robił krok do przodu unosząc ręce, kiedy w tej samej sekundzie z krótkofalówki przyczepionej do ciemnego paska wydobył się szum.

- [...] Bravo 2.45 Brilton prark. Do wszystkich jednostek.

Ted spojrzał na policjantów, którzy pokiwali głowami i podeszli do radiowozu. Pierwszy oficer wsiadł do auta włączył syrenę i odjechał z piskiem opon. Jego partner Charles wpatrywał się przez dłuższą chwilę w kierunku odjeżdżającego Chevroleta Captiva, zapisując coś zawzięcie w swoim notesie. Stojący w drzwiach Ted nie zamierzał przepuścić takiej okazji. Bez większego namysłu zamknął ostrożnie frontowe drzwi i cichcem podkradł się w kierunku tylnego wyjścia.

Biegł ile sił w nogach mając nadzieję, że ciężki i gęsty deszcz sączący się przez chmury nad jego głową pozwoli mu niezauważenie przedostać się w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Nigdy w życiu nie pędził równie szybko jak teraz. Przebierał szybko nogami w grząskim, mokrym gruncie skacząc przez niskie ceglane murki. Co jakiś czas musiał wspinać się na ogrodzenie lub parkan stanowiący granicę jakiejś przybudówki, czy też przekraść się przez czyiś ogród. Zadanie to, biorąc pod uwagę miejscowość było nie lada wyzwaniem, gdyż mieszkańcy Countburry Spring cenili sobie bezpieczeństwo i to ponad wszystko. Gdy pokonywał kolejne kilometry przecinając pojedyncze posesje natrafiał na alarmy zbliżeniowe kiedy przeszedł za blisko drzwi, światła na fotokomórkę czy też po prostu wściekłego „psa ogrodnika", jak potocznie zwykł mawiać człowiek gustu - Capone Enfach znany Tedowi z telewizyjnego show na temat geniuszu ludzkiego umysłu.

Kiedy wreszcie dotarł do Holland Tunnel, zatrzymał się by nieco ochłonąć i złapać oddech. Pogoda nieco się poprawiła. Słońce wychynęło zza chmur a jego pierwsze promienie odbijały się gdzieniegdzie od rozległych kałuż rażąc niemiłosiernie Teda po przyzwyczajonych do ciemności oczach. Przymykając powieki i ociekając wodą rozglądał się szybko dookoła chcąc się upewnić, że w okolicy nie ma żadnego patrolu. Wszystkie radiowozy są pewnie w Brilton park ale po co ryzykować, zawsze lepiej zachować czujność i być roztropnym.

Nadal się trząsł. Nie wiedział, czy z zimna, czy z emocji. Wiedział tylko, że nadal nie pojmował, co się wydarzyło. Jego zwyczajne dotychczas życie obróciło się nagle w ciągu paru chwil w popiół. Wszystko co znał, co robił, o czym myślał, jego hobby, praca, znajomi - już nie miało żadnego znaczenia, nagle, ot tak, po prostu przestało istnieć. Już nic się nie liczy, pomyślał z trwogą. Teraz wszystkie jego doczesne problemy, z którymi borykał się zniknęły. Został mu już tylko jeden cel, jedno zadanie i jeden problem. Nie może dać się złapać. Został sam, w walce o przetrwanie w świecie, w którym już wszystko jest pozbawione sensu. Od dziś jego całe życie, to on sam. Bez samochodu, portfela, pieniędzy. Nie pomyślał - mógł zabrać plecak i wrzucić do niego chociaż to co najważniejsze. To była katastrofa. Nie wiedział, co ze sobą zrobić, ale miał silną wolę, która podpowiedziała cienkim, nieśmiałym z początku głosikiem, że musi iść dalej. Posłuchał jej i od razu przypomniał sobie podstawy survivalu. Musi znaleźć schronienie, coś do picia, może jakiś prowiant. Tak podpowiadał instynkt samozachowawczy.

Natchnięty nową energią Ted Geary spojrzał na rozciągający się przed nim Holland Tunnel. Musiał udać się do Nowego Yorku. Tam znajdzie jakąś pomoc. Nie wiedział jeszcze jak, ale coś wymyśli. Jego irlandzkie korzenie odezwały się nagle dając mu siłę wychowanych na surowych wyspach przodków.

Ruszył pewnym krokiem przed siebie czując na plecach ciepłe promienie słońca. Co prawda mógłby iść przez całą drogę pieszo, ale nie widział większego sensu. Nawet jeśli, to idący przez Holland Tunnel przemoczony, brudny i ledwo zipiący człowiek wzbudzi o wiele więcej podejrzeń, niż jadąc taksówką. Właściwie nie widział większej różnicy w wyglądzie między sobą a setkami innych osób, które podróżowały taksówkami, lub też byli ich właścicielami. Zwłaszcza jeżeli ponad połowa z nich to imigranci, złodzieje i inne męty, lub też byli więźniowie próbujący ułożyć sobie normalne życie po odpokutowaniu za niecne czyny, których niegdyś się dopuścili. A on mógł być właśnie jednym z nich.

Wyciągnął przed siebie rękę, by po chwili zatrzymała się przed nim jedna z kilku tysięcy taksówek. Siedzący w niej czarnoskóry mężczyzna uśmiechnął się życzliwie ukazując jednocześnie dość sporą znajdującą się między zębami trzonowymi szparę. Ted odpowiedziawszy sztucznym uśmiechem, wsiadł do auta.

Rozdział II

- Proszę - Powiedziała z wyrzutem kelnerka w czerwonym fartuchu, spoglądając z góry na mężczyznę przyodzianego w czarny jak węgiel płaszcz. Przemęczona całym dniem ciężkiej pracy, kobieta pomyślała, że to kolejny bogaty biznesmen, który nie może zwrócić swej ważnej persony w stronę zwykłej kelnerki, jakby mógł się czymś od niej zarazić. Codziennie przewijały się tu takie typy - siedząc, czytając gazetę i popijając kawę w nadziei pozbierania myśli po konferencji prasowej lub innej równie nudnej czynności. Przez pierwsze kilka sekund nie raczył nawet zerknąć w jej stronę, lecz po chwili, wyrwany jakby z transu drgnął, poderwał głowę z nad gazety i spojrzał na nią wzrokiem pełnym zdumienia.

Był wyraźnie zaskoczony widząc wściekle różowe włosy, które specyficznie przycięte, sprawiały wrażenie praktycznie niewidocznych na tle migoczącego różowego neonu z napisem New York BG's coffe.

Mężczyzna wstał powoli i uniósł rękę kelnerki, odstawiając znajdującą się weń kawę, a następnie w niezwykle szarmancki sposób pocałował kobietę w nadgarstek.

- Dziękuję i przepraszam za moją nieuwagę - odparł z przejęciem. Kobieta zdziwiła się kiedy dostrzegła tak nagłą zmianę w jego zachowaniu, a na jej twarz wstąpił rumieniec. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, mężczyzna popsuł swoje dobre drugie wrażenie. Drapiąc się po zaroście i ziewając ospale, ukazał jednocześnie znajdujące się pomiędzy jego zębami resztki omletu z pieczarkami. Z twarzy kelnerki uśmiech spełzł niczym wąż - początkowo wyginając się na kilka stron, jak gdyby sytuacja ta rozbawiła kobietę. Po chwili widać było jednak tylko wyraz jej zniesmaczenia. Odeszła od stolika i zaczęła sprzątać

zabrudzoną ladę z małymi widełkami, które służyły jako trzymadła do gorącej kawy.

Sam uwielbiał tu przebywać w chłodne jesienne popołudnia sącząc swoją małą czarną i przyglądając pędzącym z pracy przechodniom, którzy podobnie jak on, zmagali się z trudem przemieszczania po tak zatłoczonym mieście. Mimo, iż miał mało czasu zdążył się nieco odprężyć zanim znów będzie musiał wracać do biura. Wyciągnął paczkę papierosów z wewnętrznej strony płaszcza i zapalił jednego z zadziwiającą zręcznością jednym długim pociągnięciem zapałki. Z jedną tylko różnicą – zapałkę potarł o stół. Zdołał dostrzec kątem oka, jak zza trzymadeł do kawy spogląda na niego kelnerka, która zapewnie widziała podobny trick w jakimś westernie. Nie zważając na kobietę przy ladzie i małe dzieci bawiące się słomkami, spoglądał przez okno obserwując uważnie paru kloszardów, którzy przebierali zawzięcie w śmietnikach po drugiej stronie ulicy. Po chwili przeszkodziła mu w tym jego stara Nokia 3510.

Sam Evans odebrał połączenie od zastrzeżonego numeru.

- Halo?

- Samuel, to ty? - odezwał się głos w słuchawce.

- Dobrze wiesz kto. Nie pogrywaj ze mą, nie dziś.

- Dobra, dobra. Countburry Spring 1954, kojarzysz? - przemówił z przejęciem tajemniczy rozmówca.

- Ta i co z tego?! Po jaką cholerę zawracasz mi głowę?! Skąd mam wiedzieć gdzie posiałaś papiery rozwodowe!? - odparował Sam, siląc się na kamienny wyraz twarzy.

- Ja... no bo... hę?

- Zamknij się! - syknął wściekle.

Okoliczna klientela wpatrywała się w mężczyznę z szeroko otwartymi oczami, wykazując niezmierne zainteresowanie przebiegającą z napięciem rozmową.

Przykładając telefon do płaszcza i uśmiechając się pogodnie do zdziwionych gapiów Sam ruszył w stronę seledynowych drzwi umieszczonych za ladą. Spoglądając posępnie na obdrapane deski z napisem WC i marszcząc brwi, wszedł po cichu do środka.

-Zwariowałeś?! Żeby mówić o tym przez telefon?! Czy to jest w ogóle bezpieczna linia?! Przez ciebie musiałem się przenieść do jakiegoś obsranego kibla! - wyrzucał z siebie chwilę później zbulwersowany Sam.

- Przepraszam i tak to bezpieczna linia - bronił się rozmówca. - Czy mogę teraz mówić?

- Tak, tylko szybko!

- No bo widzisz... - zaczął niepewnie. - To znów się stało... - wymamrotał zaniepokojony głos.

- Co? ale jak to... Że co?! - Sam zaniemówił i dostrzegł wyraz niedowierzania w lustrze naprzeciw niego.

Po dłuższej chwili mężczyzna opuścił zaniedbaną toaletę bogatszy o jedną informację więcej niż by ch-

ciał. Wciąż nie mogąc uwierzyć w to co przed chwilą usłyszał, stał oniemiały pośrodku kawiarni, wpatrując się tępo w przestrzeń. Obraz wokół niego nie był wyraźny, właściwie nie zwracał już nań uwagi. Był wyrzuty z emocji. Tę nostalgię przerwał w tym samym czasie jakiś mokry i brudny rzezimieszek, który wpadł na niego przeklinając siarczyście. Gdy przedarł się przez resztę klientów czekających w kolejce, usiadł ciężko na obitej czerwonym materiałem pufie.

- Niech go szlag - wymamrotał pod nosem, otrząsnąwszy się z błota. - Obyś mi już nigdy nie wszedł w drogę...

*

Ted wyciągnął ręce spod płaszcza i zaczął szperać w kieszeniach spodni w poszukiwaniu gotówki lub czegokolwiek, co mógłby sprzedać, niestety znalazł tylko kilka kapsli po piwie i pudełko zapałek.

- Cholera - wymamrotał pod nosem z rezygnacją - Co ja teraz zrobię?

Nie mógł się poddać, musi gdzieś przenocować i coś zjeść. Spojrzał rozpaczliwie na niedojedzony kawałek pieczywa czosnkowego i wepchnął kawałek do ust. BG's coffe nie była najgorsza, chociaż jadał już lepsze rzeczy, a i klienci byli jacyś oschli.

Na zewnątrz było zimno. Słońce, które jeszcze nie tak dawno suszyło pozostałości po burzy, znów zaszło a chłodny wiatr kąsał Teda w nieosłoniętą szyję, przyprawiając go o gęsią skórkę. Kiedy myślami znów wrócił do zwłok kobiety zalegających gdzieś w jego piwnicy lub podróżujących właśnie do kostnicy, przypomniał sobie Sarah, jego starą przyjaciółkę, z którą pochował kiedyś wiewiórkę na ogródku.

Właśnie - Sarah! Jego mózg krzyknął uradowany. Że też dopiero teraz na to wpadł. Przecież była jego przyjaciółką jeszcze z czasów studiów, to do niej zawsze zwracał się w trudnych chwilach. Czasem nawet musiał zostać u niej parę razy kiedy jego rodzice kłócili się tak zawzięcie, że przestraszeni sąsiedzi wzywali policję.

Może właśnie przez poczucie obowiązku opieki nad przyjacielem i wewnętrznej potrzeby niesienia pomocy Sarah została policjantką, a może po prostu chciała pomóc oczyścić to miasto z dealerów i szumowin, które mnożą się wciąż bez końca, jak robaki. Nie ważne czy był w małych czy dużych tarapatach, Sarah zawsze mu pomagała. Na pewno mu pomoże mu i tym razem.

Z braku czasu i pieniędzy Ted skierował się w stronę metra, nie był pewien czy mu się uda przemknąć bez biletu dziewięć stacji, ale musiał spróbować.

Podróż była męcząca i nie tak szybka jak przypuszczał, zwłaszcza dla człowieka, który nie śpi a jego nerwy są w strzępkach. Na każdym przystanku musiał się rozglądać, czy nie widać policji, co chwilę oglądał się za plecy, obawiając się że ktoś go śledzi. Każdy, kto szedł w tunelu metra naprzeciw niego wydawał się złowieszczy, z głową opuszczoną, łypiąc groźnie niewyraźnymi ślepiami spode łba.

Kiedy dojechał do Green point przysiadł się do niego jakiś obłędnie wyglądający, zarośnięty kloszard, proponując mu przyjacielski uścisk dłoni i tajemniczy napój w drewnianej butelce. Był to miły gest ze strony nieznajomego, ale nie skorzystał z oferty i odmówił grzecznie kręcąc głową. Niestety brodaczowi się to nie spodobało i z niewiadomych przyczyn zaczął krzyczeć na drobną staruszkę, która z trwogą uciekła przed zraszaczem jego śliny.

Po piętnastu minutach przedział zupełnie opustoszał, został tylko sam Ted i matowy, metaliczny charakter tej napędzanej elektrycznie konserwy, która za każdym razem otwierała się na nowo, by wpuścić kolejną dawkę wdmuchiwanych przez wielkie wentylatory parnego powietrza.

W konserwie dało się czuć spokój, dziwny spokój. Był aż nieprzyjemny, a w pewnym momencie stawał się nie do wytrzymania, zupełnie jak cisza, która kiedy za cicha - piszczy w uszach. W końcu jednak po kolejnych paru stacjach syntezowany głos komputera w metrze ogłosił: „East Village". Ted wyrwany z transu po wpatrywaniu w przesuwające się za szybą ściany tunelu wstał i w ostatniej chwili wyskoczył na zewnątrz. .

Robiło się ciemno a nadchodzący wieczór zakrywając coraz bardziej niebo pomógł w uniknięciu niepożądanego kontaktu i uwagi otoczenia. Przemierzając ulice w tej dzielnicy Ted natknął się kilka razy na damy do towarzystwa podpierające tu i ówdzie burgundowe ściany tylnich wejść do strip clubów oraz jednego podejrzanego Afroamerykanina. Odziany w kurtkę z zamszu, z czarnym beretem na głowie podchodził od tyłu do niektórych osób na chodniku zrównując się z nimi, wkładał im coś do kieszeni, a następnie znikał. To była na prawdę ponura okolica.

Gdy dotarł wreszcie do domu Sary, zatrzymał się niepewnie przed emaliowaną czarną furtką i spojrzał na szereg alejek prowadzących pod ściany wysokich bloków z obdartym tynkiem. Wiatr zawiał mocniej szurając liśćmi po chodniku.

Stojąc tak na wietrze, Ted zastanawiał się przez chwilę, jak to rozegrać. Nie wiedział właściwie, co jej powiedzieć. Wchodząc po klatce schodowej stwierdził jednak, że wyzna całą prawdę. W końcu co mu pozostało?

- Hej Sarah. - rzucił uśmiechając się blado, w chwili gdy ta otworzyła drzwi.

Wyraz na twarzy Sary mówił, że zaskoczyła ją jego wizyta, chociaż Tedowi wydawało się, że widział jak wygląda przez okno na piętrze i sądził, że zauważyła go, kiedy szedł alejką. Wyglądała jednak tak samo jak zawsze. Blond włosy spięte w elegancki kok, błękitna koszula wystająca spod ciemnoczerwonego swetra z dużym dekoltem i ciemne jeansy Wranglera slim fit.

- Jezus, Maria, Teddy! - zapiszczała cienkim głosem. - Co ty tu robisz? Wyglądasz okropnie, na Boga - co ci się stało?

Ted spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem.

- Chyba trochę nabroiłem. Potrzebuję twojej pomocy - dodał po chwili poważnym tonem.

Pół godziny później siedział otulony kocem na zielonej kanapie z kubkiem kakao i grzał stopy przy elektrycznym grzejniku olejowym.

Opowiedział Sarze o wszystkim co mu się przytrafiło, poczynając od wczesnego ranka. Ta z kolei siedziała na przyniesionym z kuchni taborecie i słuchała w napięciu paląc Chesterfieldy. Kiedy Ted skończył, a piąty już z kolei papieros spalił się sam do filtra tkwiąc w porcelanowej popielniczce, Sara nadal wyglądała jak figura woskowa. Patrząc się na niego, jak na jakieś nieznane jej dotąd zjawisko otwierała raz po raz usta, przypominając karpia świątecznego.

- Cholera Ted, to brzmi jak rodem z filmów Hollywood - odezwała się wreszcie, nie wiedząc co powiedzieć. - Ty chyba nie…? - zaczęła, ale Ted uciął oburzony.

- Oczywiście, że nie! Przecież nie zrobiłbym tego. Dobrze o tym wiesz - dodał smętnym głosem.

- Wybacz, ale chyba sam rozumiesz, musiałam spytać.

- Tak, wiem, wiem. Też znam te procedury.

- Przepraszam, ale po prostu nie rozumiem dlaczego ktoś miałby Cię wrabiać w morderstwo - powiedziała, poprawiając się na krześle.

- Dla mnie to wszystko też jest nie do pojęcia. Przecież tu chodzi o czyjeś życie! - krzyknął nagle. - Kto kurwa mógł zrobić coś takiego? - teraz miał już w oczach łzy. Wszystkie emocje, które od rana nim targały nagle znalazły ujście i jakby nie mogąc być dłużej wstrzymywane trysnęły z całą mocą. Ted krzyczał i płakał jak dziecko. Raz to się złościł przeklinając w niebogłosy, raz uspokajał, żeby zaraz złożyć głowę na kolanach i pozwolić, by łzy kapały na biały koc. Co chwilę jęczał żałośnie dławiąc się z braku tchu.

Sara pozwoliła mu się wypłakać i uspokoić. W tym czasie wzięła szybki prysznic, zrobiła skromną kolację i przyniosła talerz z kanapkami, stawiając na stoliku do kawy. Po krótkiej chwili wszystkie zniknęły, a nagromadzone emocje uszły z Teda jak powietrze z materaca.

- Jak się czujesz? - podjęła z troską w głosie.

- Jak głuchoniemy banan.

Sara spojrzała na niego zdziwiona podnosząc do góry jedną brew.

- Bo czułem się jak bym był w innej skórze. - machnął ręką trzymającą koc. - Od początku nic do mnie nie docierało, nie wierzyłem w to co się dzieje.

- Ale jak do tego w ogóle doszło? - pytała siląc się na opanowany ton głosu.

- Nie mam pojęcia. To wszystko stało się tak szybko, że nie zdążyłem nawet nic zrobić, a po chwili

stałem cały we krwi jakiejś młodej dziewczyny. Byłem jak sparaliżowany. Nie wiedziałem co robić, więc spanikowałem. Myślałem że to co się dzieje jest tylko snem, jakimś koszmarem, że zaraz się obudzę we własnym łóżku i zastanę tylko najzwyklejszy w świecie burdel. Ale kiedy wybuchł pożar już wiedziałem, że to nie sen. Wiedziałem, że moje całe życie właśnie staje na głowie. To było coś niepojętego. Stałem tam, jakby z boku. Czułem jakbym wyszedł ze swojego ciała i obserwował, jak jakiś obcy człowiek ściera krew, wynosi ciało i gasi szalejący pożar. Nie miałem kontroli nad własnymi rękoma. Patrzyłem tylko tępo na wszystko, jak przez gęstą mgłę. Następne co pamiętam, to jak biegnę w deszczu i wyłaniam się gdzieś przy Holland Tunnel. Jak to możliwe? - spytał zrozpaczonym głosem.

Nie wiedząc co o tym wszystkim myśleć Sarah usiadła obok Teda i położyła rękę na jego ramieniu.

- Sądzę, że to Adrenalina - odparła spokojnie.

- Nie rozumiem - odparł masując bolącą od natłoku myśli głowę.

- Nie mogłeś znieść napięcia, więc twój organizm odciął się od twojego umysłu. Robiłeś wszystko mechanicznie nie zastanawiając się nad niczym. Mięśnie działały same, a twoja świadomość zaszyła się gdzieś w cichym, ciepłym kąciku podświadomości zatykając uszy i nie chcąc mieć z tym wszystkim nic wspólnego. - Adrenalina - powtórzyła Sarah.

- Często miewamy takie przypadki - ciągnęła dalej. Trafiają do nas niektórzy nieszczęśliwcy. Ofiary walk, napadów, gwałtów, wypadków samochodowych i innych tragicznych zdarzeń często zapominają co się z nimi działo, lub co robiły, kiedy ekstremalne warunki czy sytuacja wymuszały na nich działanie. To adrenalina sprawia, że człowiek zdolny jest do niemożliwego wysiłku fizycznego, kiedy chodzi o przetrwanie. Organizm ma niezdobyte pokłady energii, gdy tylko ma wystarczająco dużą siłę woli, jeśli o to chodzi.

Kiedyś słyszałam o pewnym turyście, który wczesną wiosną wybrał się na skalistą część zachodniego wybrzeża, aby zrobić parę ładnych zdjęć. Zszedł po skalnym stropie dzięki zamocowanej linie. Była to trasa turystyczna i często wybierali się tam inni turyści, ale o tej porze roku nikt tamtędy nie chodził. Mężczyzna będąc już na brzegu dostrzegł małą półkę skalną, z której miałby dobre ujęcie na zachód słońca. Jednak, żeby się tam dostać musiał przejść po bardzo wąskim występie, więc plecak z kanapkami i herbatą w termosie zostawił przy linie którą zszedł na brzeg. Przeszedł jakieś trzysta metrów i wdrapał się na skałę. Stanął na skalnym podeście przyciśnięty do skały, a potem zaczął przesuwać się wzdłuż ściany, trzymając kurczowo kruchych piaskowców. W połowie drogi stała się rzecz oczywista. Kawałek piaskowca odpadł od ściany razem z nieszczęśnikiem. Facet ocknął się następnego ranka ze strzaskanym biodrem. Cudem samym w sobie był fakt, że przeżył upadek z dwunastu metrów. W skrócie... - urwała na chwilę zaciągając się mocno. - Przeszedł drogę powrotną w dwa dni, która wcześniej zajęła mu pięć minut, czołgając się po głazach wielkości samochodów - Pamiętaj, że miał złamane biodro, a przy każdym ruchu czuł ból ocierających o siebie kości - wtrąciła Sara. Kiedy dotarł do plecaka był już skrajnie wyczerpany. Ostatecznie musiał wspiąć się o samych rękach po prawie pionowej skale z powrotem na szlak turystyczny. W końcu jakaś rodzina z Connecticut znalazła go nieprzytomnego, odwodnionego i bliskiego śmierci niedaleko polany na której zatrzymali się na piknik.

- Niezła historia - stwierdził zamyślony.

- Prawdziwa - wymamrotała Sara wpatrzona w punkt gdzieś ponad głową Teda.

- Przeżył?

- Tak, wezwali karetkę i zabrali go do najbliższego szpitala. Dwu miesięczna rekonwalescencja załatwiła sprawę. Był zdrów jak ryba, z tym, że na kółkach.

Sara spojrzała na siedzącego obok ciemnego blondyna, który już ziewał po raz enty.

- Widzę, że jesteś pełen energii Teddy.

- Nie wiem czemu mnie tak naglę zmorzyło. Czuje się jakbym zjadł tonę kamieni a na plecach miał skorupę genialnego żółwia - wyszeptał mrużąc powieki.

- Nie możesz tu zostać - odezwała się nagle.

Ted spojrzał na nią zdziwiony.

- Ja nie...

- Nie chodzi o Ciebie, za godzinę przyjeżdża mój narzeczony - powiedziała krótko. - Nie przenocuję Ciebie, przykro mi. Dam ci za to jakąś gotówkę - wstała i podeszła do komody w korytarzu. - Zatrzymaj się w hotelu Dalma, mają tam miłą i dyskretną obsługę. Nie musisz się denerwować. Jutro popytam w komisariacie i powęszę trochę w Twojej sprawie, zobaczę, czy uda mi się coś zdziałać. Wszystko jakoś się ułoży, zobaczysz.

- Nic się nie martw - rzuciła w stronę Teda niosąc plik banknotów. - Nie musisz mi oddawać w najbliższym czasie.

- Sarah, nie mogę tego przyjąć - oznajmił chowając ręce za plecy, jakby nie chciał ich w ogóle dotknąć.

- Nie bądź niemądry Ted, nie masz ani grosza, a ja na pewno nie pozwolę Ci spać na ulicy. Masz - wcisnęła mu pieniądze za pazuchę i puściła oko, jakby była w strip clubie.

Bezradny Ted z niemrawą miną przyjął fundusze Sary i podziękował za wszystko. Był trochę zawiedziony, że każe mu jeszcze jechać do hotelu po tym wszystkim, co dziś przeżył, ale wiedział, że bez niej by sobie nie poradził. Doceniał wszystko co dla niego zrobiła. Nawet jeśli nie było to wiele. Pracowała w wydziale zabójstw, więc równie dobrze mogła zakuć Teda w kajdanki, w chwili, w której o wszystkim jej powiedział, nie zważając na wspólną przeszłość.

Zmierzając do drzwi wyjściowych Sara uściskała go mocno całując w policzek z obietnicą, że wszystkim się zajmie.

- Dzwoń do mnie, jeśli będziesz miał jakikolwiek problem Teddy - powiedziała wręczając mu karteczkę samoprzylepną z numerem.

- Postaram się, nie.

*

Detektyw Martin Pierce pochodził z ubogiej rodziny mieszkającej na farmie niedaleko Phoenix w stanie Arizona. Niezwykle suche, gorące powietrze, do którego był przyzwyczajony i wysoko wiszące słońce, które dewastowało liczne plony nieszczęsnych rolników było jedynym co znał. Wysuszona, niemal zbrązowiała trawa. Wszechobecny, padający na zmęczone rolnicze barki skwar i ruchomy, falujący leniwie obraz leżącego w oddali miasta. To jego wspomnienia związane z rodzimą ziemią. Ogromna pustynna przestrzeń sprawiała wrażenie odosobnienia i samotności, ale w rzeczywistości życzliwość mieszkańców i wzajemna pomoc mówiły, że można tu się czuć bezpiecznym. Ten jaskrawy, nasycony promiennymi barwami obraz gorącego świata tak silnie kontrastował ze wschodnim, posępnym w swojej formie wybrzeżem, że jego życie w Nowym Yorku nie raz wydawało mu się wyblakłe, jak ubrudzona plamami od oleju silnikowego stara szmata. Jego biuro nie odstawało dużo wyglądem. Obdrapane ściany pokryte jasno żółtą farbą próbowały mówić co innego, lecz kiepsko im to wychodziło. Na starych półkach i szafkach pod sufit wisiały paprotki starając się na siłę ożywić pomieszczenie. Dla Martina Pierce'a sprawiało jednak wrażenie terrarium, a on sam czuł się w nim jak *Eublepharis macularius* - gekon lamparci. Meble były niczym kawałki drewna, których czasem się uczepiał, by wisieć nad nimi godzinami przeszukując sterty papierów w poszukiwaniu przysłowiowej igły w stogu siana, lub raczej - jak wolał myśleć - tłustej larwy w pustym, spruchniałym pniu.

Z pokoju emanowała aura stagnacji i chociaż codziennie przewijało się tu pełno ludzi, sadzawka z wodą pitną dla gekona Martina, była pełna zwiędłych liści paproci. Zdążył już się do tego przyzwyczaić. Czasem jednak zaglądał tu dla odmiany ktoś normalny i sprawiał, że dzień przestawał być na chwilę szary, przypominając mu tym samym, że nie nadaje się do życia w niewoli, a jego miejsce jest na wolności, pośród innych jaszczurek.

- Jak się miewasz Mort? - odezwał się jakiś głos zza szklanych drzwi.

- Wszędzie poznam ten wstrętny ton - zawołał Martin Pierce podnosząc wzrok znad okularów do czytania i uśmiechnął się.

Do środka wkroczył niski, przysadzisty jegomość o jowialnym wyglądzie, a wraz z nim jego pokaźny brzuch. Ubrany był w sztruksowe spodnie zamiatające niemalże podłogę i ciemno beżową marynarkę z naszywkami na łokciach, które były już nieco wytarte.

- I mówiłem Ci tysiąc razy - Martin podniósł palec - Jak już, to Mart. Nie jestem jakimś ortodoksyjnym żydem - zaśmiał się i spojrzał na prokuratora Stevena Marsha.

Starszy mężczyzna zarechotał, wprawiając w ruch swoje podbródki. W świetle terrariowych lamp wyglądały, jak zwisająca skóra u warana z Komodo.

- Nie gniewaj się Mort. Przecież wiesz, że ten mój akcent nie daje mi żyć w spokoju. - odsapnął Steven siadając na składanym krześle, które zaskrzypiało niebezpiecznie.

- Wiem, wiem, już to przerabialiśmy. Ale zawsze możesz do mnie mówić po imieniu.

Martin zastanawiał się dłuższą chwilę, dlaczego mocno Brytyjski akcent jego kolegi ze szkoły policyjnej tak bardzo go irytował a jednocześnie poprawiał mu humor. Prawdopodobnie umiejscawiał go oczyma wyobraźni bardziej w scenerii jednego ze skeczy Monty Pythona, niżeli w roli ręki sprawiedliwości.

- Jak się trzyma Kate?

- Co? Ah, Katie? Tak, ma się całkiem dobrze, ostatnio nawet trochę rozpromieniała, tak mi się wydaje. Od niedawna sama jeździ, widać, że stara się być samodzielna, nie chce, żeby ktokolwiek ją pchał ani jej pomagał. Skubana łotrzyca - zaśmiał się naglę. - Ostatnio nawet ugryzła mnie w ucho, jak nachyliłem się, żeby usłyszeć co mówi. Pewnie pomyliła z kiełbasą - chwycił się za płatek ucha ukazując małą bliznę. - Ciebie w każdym razie pamięta. A może po prostu chce jeść malin? - mężczyzna potarł jeden ze swoich podbródków w konsternacji.

- W każdym razie dobrze, że jest poprawa - stwierdził krótko Martin Pierce.

- Tak, tak...

Steven Marsh nagle spoważniał. Jego krzaczaste brwi spięły się razem, a nos zmarszczył.

- Musimy pogadać Martin - podjął nagle.

Martin wyczuł, że jego ton się zmienił, dodatkowo mówił mu po imieniu. To nie wróżyło nic dobrego. Zza pazuchy wyciągnął żółty folder ze znajdującymi się weń zdjęciami. Rzucił go na biurko detektywa i przemówił.

- Wczoraj rano w okolicach Countburry Spring w Newark doszło do morderstwa. Ofiarą jest biała kobieta, około trzydziestki. Jedna rana cięta na szyi. Prosta, najpewniej została zadana nożem lub żyletką.

Prokurator kręcił młynka kciukami. Widać było, że coś go wyraźnie niepokoi.

- Nie wiemy jeszcze kim jest, nie miała przy sobie żadnych dokumentów, portfela, torebki ani pieniędzy. Zdjęliśmy już odciski palców, ale póki co nie mamy żadnych trafień. Prawdopodobnie nie była notowana, stąd brak jej w policyjnej bazie danych. Cały czas szukamy, niemniej jednak chciałbym, żebyś udał się na miejsce i przyjrzał się temu wszystkiemu na własne oczy.

Matrin Pierce wziął do ręki fotografie zrobione przez koronera. Przyglądał się plamie rozmazanej krwi i bezładnie rozrzuconym, kręconym włosom denatki.

- Popytaj też sąsiadów, czy nie widzieli czegokolwiek - ciągnął dalej. - Może moi ludzie coś przeoczyli. Na zdziadziały garb Katie - Mort, mój nos mi mówi, że coś tu śmierdzi. Sam się przekonasz dlaczego.

- Jest jakiś podejrzany? - zapytał po dłuższej chwili Martin odkładając zdjęcia.

- Tak, młody mężczyzna z Newark. To właśnie w jego mieszkaniu znaleziono ofiarę. Już go spraw-

dziliśmy. Nazywa się Ted Geary. Z pochodzenia Irlandczyk, ojciec zawodowy alkoholik. Nie żyje od pięciu lat. Jego matka mieszka na obrzeżach Portland w domu opieki.

- Ale uwaga - Marsh podniósł palec wskazujący. - Nasza złota rybka to wojskowy.

Detektyw uniósł głowę odrobinę zaciekawiony.

- Jaka jednostka?

- Żadna jednostka - żachnął się starszy mężczyzna. - On siedzi w dziale technicznym. A ściślej rzecz ujmując, pracuje w sektorze B, posiada przepustkę bezpieczeństwa pierwszego stopnia i jest zatrudniony przy laboratorium nanotechnologicznym. Wszystkie dalsze dane zostały utajnione. Jak zwykle zresztą, w przypadku tych wszystkich jajogłowych. Więcej nie dało by mi się wyciągnąć, gdyby nie moje koneksje w dziale prawnym - zaznaczył. - Tak więc od mojego źródła dowiedziałem się, studiuje inżynierię wsteczną mikroukładów scalonych i bioinżynierię półprzewodników.

Śledczy zagwizdał z podziwem.

- Taa… wszystko rozumiem - dodał po chwili. - Zapowiada się na niezły ubaw - uśmiechnął się chytrze na myśl o ekscytującym podejrzanym. Już polubił tego całego Teda Geary'ego. Martin rzadko kiedy dostawał ciekawe sprawy. Tym bardziej brakowało mu tajemniczych, niewyjaśnionych morderstw, których w całym kraju podobno było mnóstwo. Tylko w Newark, które szczyci się prawie najwyższym wskaźnikiem przestępczości w całych stanach, zostały same napady, gwałty, zastraszenia i prześladowania na tle seksualnym. Czasami tylko zdarzyło się, że musiał przyskrzynić jakiegoś dealera, który wysługiwał się dziećmi lub zbyt cwanego alfonsa z lepkimi łapami.

W tym krótkim czasie prokurator zdążył uciąć sobie kilkunastosekundową drzemkę.

Spoczywając z głową opartą na podbródkach i rękoma zaplecionymi na brzuchu wyglądał jak strzegący złota smok. W rytm cichego pochrapywania jego wąsy falowały w mirażu niczym uchodzące z pokrytych łuskami nozdrzy rozgrzane powietrze.

- Panie prokuratorze - odezwał się niepewnie Martin Pierce.

Ze strony przeciwnej nie było jakiejkolwiek reakcji.

- Steven! - zagrzmiał, tym razem pewnym, donośnym głosem.

Prokurator Steven Marsh podskoczył, zachrypiał i rozglądnął się niepewnie dookoła.

- Ehbghem. Taak. I nie grzeb się z tym! - zawołał uderzając pięścią w stół. Następnie wstał, odchrząknął głośno i wyszedł.

Martin siedział jeszcze przez chwilę, wpatrując się z uniesionymi brwiami we framugę drzwi, w których przed sekundą zniknął brzuchaty mężczyzna.

- A adres? - rzucił w eter. Jego głos uwiązł w terrariowym gęstym powietrzu.

Nigdy nie spotkał tak dziwnego człowieka jakim był prokurator okręgowy. Spokojny, a jedocześnie wy-

buchowy, zawsze wesoły i pełen energii, a jednak zmęczony jak pies.

Detektyw poszedł po kawę i bajgla. Potrzebował zastrzyku energii przed wyjazdem. Musiał też dowiedzieć się, gdzie znajduje się miejsce zbrodni, wiec w korytarzu zaglądnął do Penny z drogówki.

- Hej, jak leci?

- Martin? Cześć, miło Cię widzieć. Nie narzekam, a u Ciebie?

- Penny… - Martin spojrzał na nią niczym ojciec czujący kłamstwo córki.

- No dobra. To jest najgorszy dzień w mojej karierze - wyrzuciła z siebie nagle. - Najpierw każą mi jechać do domu zastępczego, w interwencji alkoholowej, potem akcja z pobiciem w centrum handlowym i obciętym przez ruchome schody palcem, do tego wszystkiego w drodze powrotnej na posterunek złapałam gumę, a dwóch gówniarzy pomalowało mój radiowóz graffiti kiedy byłam porozmawiać z ekspedientem w kasie. No a kiedy wróciłam, czekało na mnie to - poklepała ręką pękaty plik dokumentów wysokości jej biurka, który opierał się leniwie o ścianę. Detektyw uśmiechał się słuchając kolejnej opowiadanej z przejęciem historii biurowej sąsiadki.

- Nie chcę Tobie przerywać, słyszę z resztą, że miałaś naprawdę okropny dzień, ale mam do Ciebie prośbę. Sprawdź dla mnie adres dzisiejszego morderstwa w Countburry Spring.

Ta z kolei spojrzała na niego spode łba marszcząc czoło, lecz chwilę później się rozchmurzyła.

- Nie ma sprawy, mój dzień i tak już nie stanie się lepszy, więc mogę pomóc chociaż Tobie.

Policjantka wklepała coś na klawiaturze z prędkością światła i po minucie klikania w zakładkach znalazła adres. Martin podziękował i skierował się korytarzem do wyjścia. Na odchodne obiecał, że w końcu wyjdą kiedyś na tę obiecaną kawę.

Kiedy dojechał na miejsce był lekko zaskoczony. Nie bywał często w tych okolicach, ale nie przypuszczał, że jest tutaj tak urokliwie. Tym bardziej nie pomyślałby nigdy, że w tak cichej i jak zresztą słyszał jednej z bezpieczniejszych dzielnic, ktoś mógł dokonać brutalnego morderstwa. Martin Pierce nie był naiwny. Wiedział, że to zazwyczaj pod latarnią jest najciemniej a to powiedzenie było mu znajome jak własna kieszeń. W swoim zawodzie spotkał już dużo mydlących oczy miejsc, które zawsze miały tendencję do chowania brudów pod dywanem. Tym razem jednak kontrast był tak silny, że aż niemal surrealistyczny. Równo przycięte krzaki i bardziej zielona niż sama zieleń trawa na każdym ogródku, równo posadzone młode akacje ze stalowymi barierkami wokół, wylane gładko asfaltowane podjazdy, obszerne białe domy ze spadzistymi drewnianymi dachami i zapewne wymarzonymi dziecięcymi pokojami na poddaszu. Było tego naprawdę za wiele. Tutejsi mieszkańcy musieli być strasznie pedantyczni, ale nie mniej rozsądni sądząc po zainstalowanych wszędzie kamerach, alarmach antywłamaniowych i czujnikach typu B-52. Czasami jednak zwykła przezorność przeradza się w paranoję, czemu prawdopodobnie zaprzeczyłaby powołana do życia straż sąsiedzka.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Urban, dodano 01.06.2013 09:53

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.